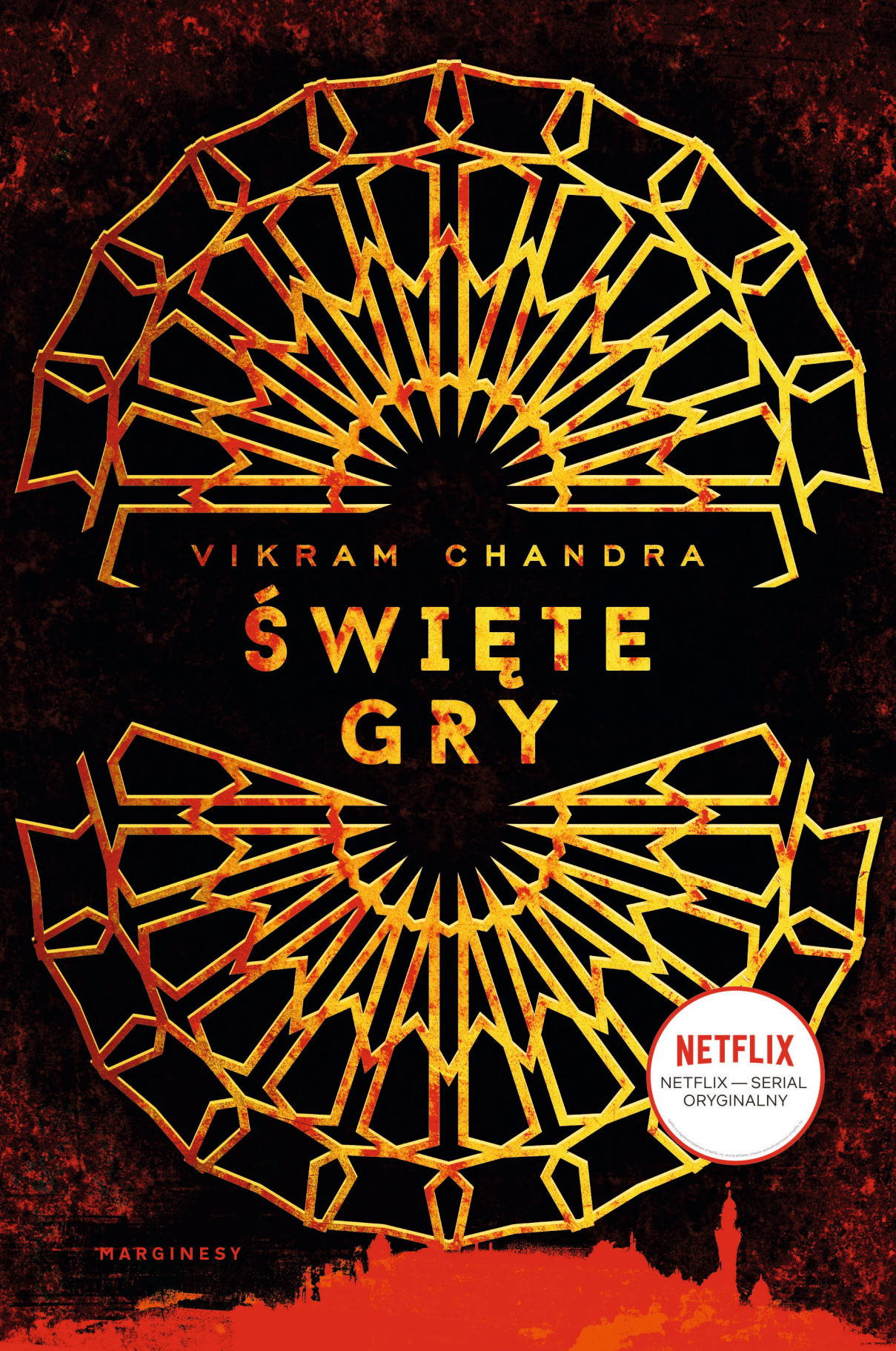




VIKRAM CHANDRA

ŚWIĘTE GRY

NETFLIX

NETFLIX — SERIAL
ORYGINALNY

MARGINESY

Sacred Games

COPYRIGHT © 2007 BY VIKRAM CHANDRA

COPYRIGHT © 2007 FOR THE POLISH TRANSLATION BY WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2019

Dla
Anuradhy Tandon
i S. Hussaina Zaidiego

Osoby

Sartadź Singh: sikhijski inspektor policji w Mumbaju

Katekar: posterunkowy, partner Sartadźa Singha

Śalini: żona Katekara

Mohit i Rohit: ich synowie

Kamala Pandej: stewardesa, mężatka, kochanka pilota linii lotniczych, Umeśa

Kamble: ambitny podinspektor policji pracujący z Sartadźem Singhem

Parulkar: zastępca komendanta policji w Mumbaju

Ganeś Gaitonde: słynny hinduski gangster, mafioso, szef Firmy G w Mumbaju

Sulejman Isa: straszliwy muzułmański gangster i mafioso, szef konkurencyjnego gangu w Mumbaju

Paritosz Śah: wyjątkowo utalentowany finansista pracujący dla mafii, między innymi dla Ganeśa Gaitondego

Kanta-bai: businesswoman prowadząca interesy z Paritoszem Śahem i Ganeśem Gaitondem

Badrija: ochroniarz Paritosza Śaha

Andźali Mathur: agentka służb specjalnych prowadząca śledztwo w sprawie śmierci Ganeśa Gaitondego

Čhota Badrija: ochroniarz Ganeśa Gaitondego, młodszy brat Badriji

Juliet (Dźodźo) Mascarenas: realizatorka programów telewizyjnych, agentka początkujących aktorów i modeli... a także luksusowa stręczycielka

Mary Mascarenas: siostra Dźodźo, pracująca jako fryzjerka

Wasim Zafar Ali Ahmad: pracownik opieki społecznej w ubogiej dzielnicy Mumbaju, człowiek o aspiracjach politycznych

Prabhdźot Kaur, Nikki: pochodząca z Pendźabu matka Sartadźa Singha

Nawnit: jej ukochana najstarsza siostra

Ram Pari: służąca matki Nikki w Pendźabie

Banti: prawa ręka Ganeśa Gaitondego i organizator jego działań

Bipin Bhonsle: hinduski polityk fundamentalistyczny, któremu Ganeś Gaitonde pomaga w wyborach na urząd publiczny

Śarma (alias Triwedi): sprzymierzeniec Bipina Bhonslego, pośrednio pracujący również dla Swamiego Śridhara Śukli

Swami Śridhar Śukla, Guru-dźi: hinduski guru i nacjonalista, światowej sławy przewodnik duchowy, który zostaje mentorem Ganeśa Gaitondego

Subhadra Dewalekar: żona Ganeśa Gaitondego i matka jego synka

K.D. Jadaw (alias pan Kumar): jeden z pierwszych indyjskich agentów służb specjalnych, prowadzący Ganeśa Gaitondego i mentor Andźali Mathur

Mr Kulkarni: agent służb specjalnych, po odejściu K.D. Jadawa prowadzący Ganeśa Gaitondego

major Śahid Khan: agent pakistańskiego wywiadu, mózg operacji fałszowania indyjskich banknotów

Śambhu Śetti: właściciel baru Delite Dance

Iffat-bibi: ciotka ze strony matki Sulejmana Isy, pełniąca funkcję jednego z najważniejszych rewidentów jego gangu w Mumbaju

Madźid Khan: inspektor policji w Mumbaju, kolega Sartadźa Singha

Zoja Mirza: aktorka, wschodząca gwiazda indyjskiego przemysłu filmowego

Adil Ansari: wykształcony, ale biedny człowiek z małego miasteczka, który ucieka do Mumbaju przed gwałtownymi konfliktami w rodzinnym Biharze

Śarmin Khan: uczennica liceum, córka majora Śahida Khana, który przeniósł się do pracy w Waszyngtonie, zabierając ze sobą całą rodzinę – żonę, córkę i matkę

daddi (dosł. babcia, matka ojca): pochodząca z Pendżabu matka Śahida Khana; dla rodziny jest muzułmanką, ale w rzeczywistości skrywa tajemnicę

Dzień z życia policjanta

Biały szpic o imieniu Pusia wyleciał z okna czwartego piętra budynku w Pannie, z nowiutkiego domu, wokół którego wciąż jeszcze stały rusztowania malarzy. Przez całą drogę w dół Pusia wyła cieniutkim głosikiem pieska salonowego, jak biały czajniczek, z którego uchodzi para. Potem odbiła się od maski daewoo cielo i poturlała w pobliże grupki uczennic oczekujących na autobus do prowadzonej przez zakonnice szkoły St. Mary. Krwi pojawiło się wyjątkowo mało, ale na widok mózgu Pusi dziewczynki wpadły w histerię, tymczasem zaś widoczny w górze mężczyzna, który wcześniej zakręcił nad głową pieskiem trzymany za nóżkę i cisnął nim w otchłań, ten mężczyzna, niejaki Maheś Pandej z Mirage Textiles, oparty o parapet, wychylał się teraz z okna i głośno się śmiał. Pani Kamala Pandej, która, zwracając się do Pusi, zawsze mówiła o sobie „mamusia”, teraz, ślaniając się na nogach, pobiegła do kuchni i z uchwytu magnetycznego porwała nóż długi na dwadzieścia centymetrów i szeroki na pięć. Kiedy Sartadź i Katekar wyłamali zamki i wpadli drzwi do mieszkania numer 502, pani Pandej stała przed zamkniętymi drzwiami do sypialni, wpatrując się w znajdujący się mniej więcej na wysokości piersi okrąg gęsty od pięciocentymetrowych ran w drewnie. Na oczach Sartadźa westchnęła, podniosła rękę i ponownie wbiła ostrze. I dopiero kiedy chwyciła nóż oburącz, zdołała go znowu wyjąć.

– Pani Pandej – odezwał się Sartadź.

Odwróciła się do nich, wciąż ściskając broń w uniesionych dłoniach. Jej blada twarz pokryta była smugami po zaschniętych łzach.

– Pani Pandej, jestem inspektor Sartadź Singh. Proszę odłożyć nóż. – Zrobił krok do przodu, podnosząc ręce do góry i ukazując jej otwarte dłonie. – Proszę – powtórzył.

Ona stała jednak nieruchomo z szeroko otwartymi i martwymi oczami, jedynie przedramiona lekko jej drżały. Znajdowali się w wąskim przedpokoju i Sartadź czuł za sobą obecność Katekara, który chciał minąć go i wystąpić do przodu. Zatrzymał się. Jeszcze jeden krok i znalazłby się w zasięgu noża.

– Policja? – dobiegł ich głos zza drzwi sypialni. – Policja?

Pani Pandej drgnęła nerwowo, jakby nagle coś sobie przypomniała:

– Ty bydlaku, ty bydlaku... – powiedziała i ponownie uderzyła nożem w drzwi. Była już zmęczona i czubek ostrza odbił się od drewna, drasnawszy

jego powierzchnię. Sartadź chwycił rękę kobiety i wykręciwszy ją w nadgarstku, z łatwością rozbroił desperatkę. Teraz jednak ona rzuciła się z pięściami do drzwi, gniotąc i łamiąc swoje bransolety, a ten jej ostatni furiacki wybuch złości trudno było pohamować czy opanować. W końcu udało im się usadowić ją na zielonej kanapie w salonie.

– Zastrzelcie go – powiedziała. – Zastrzelcie. – A potem objęła rękami głowę. Na jej ramieniu widać było zielono-błękitne siniaki. Katekar szeptał coś przy drzwiach sypialni.

– O co się pokłóciliście? – zapytał Sartadź.

– On chce, żebym już więcej nie latała.

– Co takiego?

– Jestem stewardesą. On myśli...

– Tak?

Miała oszałamiające jasnobrązowe oczy i pytania policjanta wyraźnie ją rozzłościły.

– Myśli, że skoro jestem stewardesą, to podczas postojów zabawiam pilotów. – Odwróciła twarz do okna.

Katekar wyprowadzał właśnie jej męża, trzymając mu rękę na karku. Pan Pandej podciągnął jedwabne spodnie od piżamy w czerwono-czarne pasy i uśmiechnął się poufale do Sartadźa.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję, że przyjechaliście.

– Widzę, że lubi pan bić żonę, panie Pandej – warknął Sartadź, pochylając się do przodu. Katekar energicznym ruchem usadził mężczyznę, kiedy ten wciąż jeszcze miał otwarte usta. Bardzo ładnie to zrobił. Katekar był starszym posterunkowym, wieloletnim podwładnym, ale w rzeczywistości kolegą. Z przerwami pracowali razem już prawie siedem lat. – Lubi pan ją bić, a potem wyrzuca pan przez okno biednego pieska, tak? A na koniec wzywa nas, żebyśmy pana uratowali?

– Powiedziała, że ją uderzyłem?

– Mam oczy. Sam widzę.

– To niech pan spojrzy na to. – Pandej wykrzywił twarz. – Proszę, niech pan tu popatrzy. – Podciągnął lewy rękaw piżamy, ukazując błyszczący srebrny zegarek i cztery równo rozmieszczone zadrapania, sine i głębokie, biegnące od wewnętrznej części nadgarstka i wokół przedramienia w kierunku łokcia. – Mam ich więcej – dodał. Opuścił nisko głowę, sięgając ręką do kołnierzyka, aby go odchylić. Sartadź wstał i obszedł niski stoliczek. Na łopatkę pana Pandeja widniała pofałdowana, czerwona pręga, której końca nie było widać.

– A to skąd? – zapytał Sartadź.

– Złamała mi na plecach kaszmirską laskę. Taką grubą – odparł pan Pandej, z kciuka i palca wskazującego robiąc kółko.

Sartadź podszedł do okna. Wokół małego, białego ciała w dole zebrał się krąg chłopców w mundurkach, popychających jeden drugiego bliżej środka. Dziewczynki ze szkoły St. Mary piszczały i dłońmi zasłaniały usta, prosząc chłopców, żeby przestali. W salonie pani Pandej siedziała z podbródkiem wcisniętym w klatkę piersiową i jasnym wzrokiem patrzyła na swojego męża.

– Miłość – powiedział Sartadź łagodnie. – Miłość to morderczy gandu. Biedna Pusia.

– Namaskar, Sartadź-sahab – zawołał podinspektor Kamble przez cały komisariat. – Parulkar-sahab pytał o ciebie. – Pokój miał jakieś osiem metrów długości i znajdowały się w nim cztery biurka ustawione w poprzek. Na ścianie widniał prawie dwumetrowy plakat Sai Baby, na biurku Kamblego wizerunek Ganeśi za szkłem, a Sartadź już wcześniej miał ochotę umieścić na drugiej ścianie obrazek guru Gobinda Singha, by w ten dosyć pokrętny sposób dopomnieć się o poszanowanie sekularyzmu. Pięciu posterunkowych wyprężyło się na baczność, a po chwili opadło z powrotem na plastikowe krzeselka, rozsiewając się wygodnie.

– Gdzie jest Parulkar-sahab?

– Z dziennikarzami. Częstoje ich herbatą i opowiada im o naszych nowych inicjatywach w zakresie zwalczania przestępczości.

Parulkar był komendantem policji w strefie trzynastej i miał biuro bardzo blisko, w drugim budynku, w którym znajdowała się siedziba komendy strefy. Uwielbiał dziennikarzy i miał wyjątkowy talent do zabawiania ich, a do tego jeszcze ostatnio zaczął wykazywać dryg do deklamowania dwuwierszy podczas wywiadów. Sartadź nieraz już zastanawiał się, czy aby zastępca komendanta nie ćwiczy wieczorami z tomikiem poezji przed lustrem.

– To dobrze – stwierdził Sartadź. – Ktoś musi im powiedzieć o naszej ciężkiej pracy.

Kamble parsknął śmiechem.

Sartadź usiadł przy biurku obok Kamblego i otworzył egzemplarz „Indian Express”. Dwóch członków gangu Gaitondgo zastrzelono podczas akcji lotnej brygady w Bhajanderze. Po uzyskaniu informacji wywiadowczej policja dopadła ich, kiedy wchodzili do biura tamtejszej fabryki. Wezwani do poddania się, zaczęli strzelać do policjantów, ci odpowiedzieli ogniem i tak dalej, i tak dalej. W gazecie opublikowano kolorowe zdjęcia tajniaków pochylających się nad dwoma podłużnymi czerwonymi plamami na ziemi. Wśród innych wiadomości znalazła się również informacja o dwóch włamaniach w Andheri East i jednym w Worli, a to ostatnie zakończyło się zasztyletowaniem dwojga młodych ludzi. Czytając gazetę, Sartadź słyszał, jak siedzący naprzeciwko Kamblego starszy mężczyzna opowiada o powolnej śmierci. Jego osiemdzie-

sięcioletnia mausi spadła ze schodów i złamała biodro. Przyjęto ją do polikliniki Śiwsagar, gdzie ze swoim zwykłym, stoickim spokojem znosiła nieustający ból w starych kościach. Przecież w czterdziestym drugim roku szła razem z Gandhim i wtedy doznała swojego pierwszego złamania, kości obojczyka, od uderzenia lathi konnego policjanta, a później przetrzymała gołą podłogę celi aresztu. Miała tę staroświecką moc, wedle której obowiązkiem człowieka na tym świecie było poświęcenie. Kiedy jednak odleżyny utworzyły głębokie, czerwone rany na jej rękach, ramionach i plecach, nawet ona stwierdziła, że być może czas umierać. Starszy mężczyzna nigdy wcześniej nie słyszał, żeby mówiła coś podobnego, ale teraz jęczała, że pragnie umrzeć. Minęły dwadzieścia dwa dni, zanim zaznała ulgi, dwadzieścia dwa dni, zanim nadeszła ta błogosławiona ciemność. Sam byś się rozplakał, mówił ten starszy mężczyzna, gdybyś ją zobaczył.

Kamble przerzucał strony rejestru. Sartadź w pełni wierzył w opowieść starszego mężczyzny i rozumiał jego problem – poliklinika Śiwsagar nie mogła wydać mu ciała, jeśli wcześniej nie otrzyma wystawionego przez policję zaświadczenia o braku zastrzeżeń. Odręcznie napisana notatka na papierze listowym Rady Miejskiej Brihanmumbai stwierdzała, że policja uznaje daną śmierć za naturalną, że nie popełniono żadnego przestępstwa, a ciało można wydać krewnym. Taka procedura miała zapobiec uznawaniu morderstw – zabójstw dla pozyskania posagu i tym podobnym – za wypadki, a do obowiązków podinspektora Kamblego należało podpisywanie takich dokumentów w imieniu baczących na wszystko, ubranych w mundury khaki stróżów miasta Mumbai. Chociaż jednak formularze leżały tuż obok łokcia Kamblego, on gryzmolił coś w swoim rejestrze. Starszy mężczyzna, ze złożonymi rękami i z opadającymi na czoło siwymi włosami, patrzył na obojętnego policjanta wilgotnymi oczami.

– Bardzo pana proszę – powiedział.

Sartadź pomyślał, że w sumie całe to przedstawienie zostało dobrze prze-myślane i że żal jest szczerzy, chociaż ten fragment o Gandhim i złamanym obojczykach był przesadzony i nadmiernie melodramatyczny. Zarówno ten starszy mężczyzna, jak i Kamble wiedzieli, że przed podpisaniem zaświadczenia należy wnieść stosowną opłatę. Prawdopodobnie Kamble zażąda ośmuset rupii, starszy mężczyzna będzie chciał dać jedynie pięćset lub coś koło tego, ale tematyka poświęcenia starych ludzi została już wyeksploatowana w filmach i Kamble był całkowicie odporny na numer z upadkiem Indii. Zamknął swój czerwony rejestr i sięgnął po zielony. Baczenie się w niego wpatrywał. Stary mężczyzna podjął swoją historię, zaczynając od upadku na schodach. Sartadź wstał, przeciągnął się i wyszedł na dziedziniec komisariatu. W cieniu biegnących od frontu arkad i pod blaszanym portykiem jak zawsze kłębił się tłum

naganiaczy, pasożytów, krewnych aresztantów, posłańców i przedstawicieli lokalnych biznesmenów, osób zabiegających o względy oraz nielicznych ludzi naznaczonych piętnem nieszczęścia i nagłej niedoli, teraz spoglądających na niego z nadzieją pomieszaną z goryczą.

Sartadź minął ich wszystkich. Cały kompleks był otoczony ponadtrzy-metrowym murem, zbudowanym z tej samej brunatnej cegły co komisariat i siedziba komendy strefy. Oba dwukondygnacyjne budynki miały identyczne dachy z czerwonej dachówki i łukowate oknami. W tych ponurych łukach, w grubości ścian i nieustępliwym ciężarze fasad kryła się jakaś nadzieja, jakaś otucha masywnej potęgi, a zatem prawa i porządku. Na widok wkraczającego na schody inspektora wartownik stanął na baczność. Na długo zanim dojrzał gabinet Parulkara, wciąż jeszcze lawirując w labiryncie boksów zastawionych stertami papierów, Sartadź usłyszał dobiegający stamtąd śmiech. Zastukał energicznie w lśniące, drewniane drzwi gabinetu zastępcy komendanta, a potem je otworzył. Roześmiane twarze na moment odwróciły się w stronę przybysza, ten zaś zauważył, że na spotkaniu pojawił się nawet przedstawiciel dziennika o zasięgu krajowym, aby wysłuchać opowieści o nowych pomysłach Parulkara albo przynajmniej jego poezji. Stanowił on świetny temat na artykuł.

– Panowie, panowie. – Parulkar podniósł rękę, wskazując wchodzącego funkcjonariusza. – Oto mój najdzielniejszy policjant, Sartadź Singh. – Przy akompaniamencie przeciągłego brzęku dziennikarze odstawili filiżanki i sceptycznie popatrzyli na Sartadźa. Parulkar obszedł biurko, trzymając się za pas. – Przepraszam na moment. Musimy porozmawiać na zewnątrz, a potem on opowie wam o naszej inicjatywie.

Zamknął drzwi i poprowadził Sartadźa na tyły gabinetu, do małej kuchenki, w której pysznił się nowy nabytek, błyszczący filtr wody firmy Brit-tex. Ponaciskał guziki i błyszczący strumień popłynął do trzymanej przezeń szklanki.

– Bardzo smaczna woda, taka czysta, panie komendancie – odezwał się Sartadź. – Naprawdę bardzo dobra.

Parulkar dużymi haustami pił ze stalowego kubka.

– Zażyłem sobie najlepszego modelu – powiedział. – Uważam, że czysta woda to podstawa.

– Oczywiście, panie komendancie. – Sartadź upił łyk. – Najdzielniejszy, panie komendancie?

– Oni lubią dzielnych. A i dla ciebie lepiej będzie, żebyś był dzielny, jeśli chcesz zostać w tej robocie.

Parulkar miał opadające ramiona i gruszkowate ciało, z którym nawet najlepsi krawcy nie mogli sobie poradzić, i już teraz jego mundur był pognieciony,

w zasadzie jak zwykle. Mówił przygaszonym głosem, patrząc na bok z jakąś rezygnacją, której Sartadź nigdy wcześniej nie widział.

– Czy coś się stało, panie komendancie? Jakież problemy z naszą inicjatywą?

– Nie, nie, z inicjatywą wszystko w porządku. Nie w tym rzecz. Chodzi o coś innego.

– Tak, panie komendancie?

– Chodzi im o mnie.

– Komu?

– A komuż by? – zapytał Parulkar wyjątkowo szorstko. – Władzom. Chcą się mnie pozbyć. Uważają, że już i tak za wysoko zaszedłem.

W tej chwili Parulkar pełnił funkcję zastępcy komendanta policji, a niegdyś był zwykłym podinspektorem. Piął się po szczeblach kariery, zaczynając od służby w policji stanu Maharasztra, aż udało mu się dokonać tego prawie niewyobrażalnego przeskoku do zaszczytnej służby w krajowej policji indyjskiej, a osiągnął to sam jeden, wyłącznie dzięki swojej ciężkiej pracy, poczuciu humoru i wielu długim godzinom pracy. Była to zdumiewająca i niespotykana kariera, a obecnie Sartadź uważał go za swojego mentora. Opróżnił kubek i nalał sobie jeszcze wody z nowego filtra Brittex.

– Ale dlaczego, panie komendancie? – zapytał Sartadź. – Dlaczego?

– Byłem zbyt blisko poprzedniego rządu. Uważają mnie za człowieka Kongresu.

– Czyli mogą chcieć się pana pozbyć. To nic nie znaczy. Ma pan jeszcze wiele lat do emerytury.

– Pamiętasz Dharmeśa Mathidźę?

– Tak, to ten facet, który postawił nasz mur. – Mathidźa był przedsiębiorcą budowlanym, jednym z tych, którzy odnieśli zdecydowany sukces w rejonie północnych przedmieść. Jego ambicję, podobnie jak pot na czole, było widać gołym okiem. W rekordowym czasie rozbudował mur na tyłach komisariatu, wokół ostatnio wyrównanego obniżenia terenu. Teraz z okien budynku widać było świątynię Hanumana, mały trawnik i młode drzewka. Parulkar miał obsesję na punkcie udoskonalania. Często powtarzał: musimy się doskonalić. Firma Mathidźa i Synowie udoskonaliła komisariat, wszystkie prace wykonując, oczywiście, za darmo. – I co z tym Mathidźą, panie komendancie?

Parulkar sączył wodę małymi łyżkami, płuczac nią usta.

– Wczoraj z samego rana wezwano mnie do dyrektora naczelnego.

– Tak?

– Zadzwoniono do niego z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Mathidźa zagroził wniesieniem skargi. Powiedział, że zmuszałem go do wykonywania prac budowlanych.

– To jakieś bzdury. Przecież sam przyszedł. Tyle razy przychodził tu do pana. Wszyscy to widzieliśmy. Robił to z radością.

– Nie chodzi o ten mur. U mnie w domu.

– W pańskim domu?

– Pilnie potrzebna była naprawa dachu. Jak wiesz, mój dom jest bardzo stary. To prawdziwe gniazdo rodzinne. A do tego potrzebna była nowa łazienka. Mamta i moje wnuczki ponownie się tam sprowadziły. Chyba o tym słyszałeś.

– I co dalej?

– Te prace wykonał Mathidża. Dobrze się spisał. Ale teraz mówi, że ma nagranie, na którym słyhać, jak go straszę.

– Pan?

– Pamiętam, że kiedyś zadzwoniłem do niego, żeby się pośpieszył. Żeby zakończył pracę przed porą monsunową. Być może użyłem kilku ostrzejszych słów.

– Ale co z tego, panie komendancie? Niech idzie z tym do sądu. Niech robi, co chce. Przekona się, co możemy zrobić tutaj z jego życiem. Na jego budowach, we wszystkich jego biurach....

– Sartadżu, to tylko ich wymówka. W ten sposób chcą wyrzucić na mnie nacisk i dać mi do zrozumienia, że jestem osobą niepożądaną. Oni się nie zadowolą moim przeniesieniem, chcą się mnie pozbyć.

– Będzie się pan bronił?

– Tak. – Ze wszystkich znanych Sartadżowi graczy politycznych Parulkar był najlepszy. Arcymistrz subtelnej sztuki kontaktów, zakulisowych machinacji i rozmów kularowych, doskonały w uszczęśliwianiu ministrów i członków korporacji, zapewnianiu zysków w interesach, poklepywaniu się po plecach i wymianie uprzejmości z komisarzami policji, w drobnych przysługach doskonale wyważonych i rozdzielanych, a także pamiętanych, w interesach załatwianych, a potem szybko zapominanych. Prawdziwy miłośnik subtelnej gry. Po prostu mistrz w tej dziedzinie. Nie do wiary, że był aż tak zmęczony. Stał teraz z wymiętym kołnierzykiem, a krągłość jego brzucha już nie była dziarska, lecz ciężka od żalu. Wypił kolejny kubek wody, tym razem bardzo szybko. – Lepiej idź tam do nich, Sartadżu. Czekają na ciebie.

– Przykro mi.

– Wiem.

– Panie komendancie... – Sartadż pomyślał, że powinien coś dorzucić, coś, co by oddało jego wielką wdzięczność i jednoznacznie by wyraziło, ile Parulkar dla niego znaczy. Coś o tych wspólnie spędzonych latach, o sprawach rozwiązanych, a także o tych zaniechanych i porzuconych, o tym, ile się od niego nauczył, jak żyć, pracować i przetrwać w tym mieście jako policjant. Ale zdołał tylko wyprężyć się na baczność. Parulkar skinął głową. Zrozumiał.

Przed wejściem do gabinetu Sartadź poprawił koszulę i przesunął dłonią po turbanie. Następnie wkroczył do środka i opowiedział reporterom o większej liczbie patroli na ulicach, o współpracy ze społeczeństwem, o ścisłym nadzorze i przejrzystości działań; o tym, jak to będzie lepiej.

Na lunch Sartadź zjadł uttapam, przysłane na komisariat z pobliskiej restauracji Udiipi. Ostry smak chilli działał orzeźwiająco, ale po posiłku Sartadź nie był w stanie podnieść się z krzesła. Pomimo lekkości stawy czuł, że teraz przyniata go, wprost miazdży znużenie. Z wielkim trudem wstał i odsunął ławkę spod ściany, a potem zdjął buty i wyciągnął się na desce. Skrzyżował ramiona na piersiach. Jeden głęboki oddech, potem następny i coraz mniej odczuwał wbijającą się w udo krawędź, rozkołysana senność pozwoliła zapomnieć o drobiazgach, a otaczający go świat rozmył się w jakiejś dziwnej bieli. Czając się wewnątrz ciała energia spowodowała jednak, że poczuł potężny gniew i po chwili przypomniał sobie, dlaczego jest tak niespokojny. Wszystkie sukcesy Parulkara mają zostać wymazane, mają stracić na znaczeniu w związku z zaplanowaną kompromitacją. A kiedy już nie będzie Parulkara, co się stanie z Sartadźem? Co się z nim stanie? Ostatnio Sartadź odnosił wrażenie, że niczego w życiu nie osiągnął. Miał już ponad czterdzieści lat, był rozwiedzionym inspektorem policji z przeciętnymi perspektywami zawodowymi. Jego rówieśnicy zdążyli się wspiąć dużo wyżej, tylko on dreptał w miejscu, wypełniając swoje obowiązki. Kiedy wybiegał myślami w przyszłość, widział, że nie zdoła osiągnąć tyle, co jego ojciec, i zdecydowanie dużo mniej niż powszechnie szanowany Parulkar. Jestem zupełnie do niczego, pomyślał Sartadź, i ogarnęło go przynębienie. Usiadł, potarł twarz, energicznie potrząsnął głową i włożył buty. Szttywnym krokiem poszedł do pomieszczenia od ulicy, w którym podinspektor Kamble delikatnie masował sobie brzuch. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Smakował ci lunch? – zapytał Sartadź.

– Doskonałe, pierwszorzędne birjani z nowej restauracji Laziz przy drodze S.T. – odparł Kamble. – W takim fikuśnym glinianym garnku. Tu, w Kajlaśpadzie, popadamy w beznadziejny snobizm. – Wyprostował się i nachylił w stronę Sartadźa. – Posłuchaj. Znałeś tych dwóch gandu, których lotna brygada dorwała wczoraj w Bhajanderze?

– Gang Gaitondego, tak?

– Zgadza się. Wiesz, że gangi Gaitondego i Sulejmana Isy znowu walczą ze sobą, prawda? Słyszałem, że te dwie wczorajsze ofiary to supari z Firmy S. I że chłopaki z lotnej brygady zarobili dwadzieścia lakhów.

– W takim razie lepiej dostań się do brygad.

– Stary, a jak myślisz, na co ja zbieram? Słyszałem, że aktualna stawka, żeby tam się dostać, wynosi dwadzieścia lakhów.

– Bardzo drogo.

– Bardzo – przyznał Kamble. Twarz mu płonęła, wszystkie pory skóry były szeroko otwarte i rozpalone. – Ale tu chodzi o pieniądze, mój drogi, a żeby zarobić kasę, trzeba ją najpierw wydać.

Sartadź skinął głową, a Kamble ponownie zagłębił się w rejestrze. Pewnego razu Sartadź usłyszał od skazanego za morderstwo slumlorda, właściciela domów w slumsach, gorzki sekret życia w metropolii: *pajsa phēk, tamaśa dekh**. Dosłownie wpadli na siebie na rogu w basti w Andheri. Od razu się rozpoznali, chociaż Sartadź był w cywilnym ubraniu, a slumlord dorobił się sporego brzucha. Sartadź zagaił: „Are, Bahzad Hussain, czy nie powinieneś teraz odsiadywać piętnastu lat za zlikwidowanie Anwara Jedy?”, na co Bahzad Hussain roześmiał się nerwowo i odrzekł: „Inspektorze-sahab, wie pan, jak to jest, dostałem zwolnienie warunkowe i teraz w mojej kartotece jest napisane, że zbiegłem do Bahrajnu, *pajsa phēk, tamaśa dekh*”. To była absolutna prawda. Jeśli miało się pieniądze do sypania, można było oglądać spektakl, sędziów niefrasobliwie podskakujących na trapezie, polityków skaczących przez obręcz, wesołych gliniarzy z czerwonymi nosami. Bahzad Hussain miał sporo wdzięku i tyle zdrowego rozsądku, aby spokojnie przyjść na komisariat i z wielką pewnością siebie poprosić jedynie o filiżankę herbaty i możliwość zadzwonienia do kilku osób. Żartował i dużo się śmiał. Tak, on sypał pieniędzmi i oglądał spektakl. To całe policyjne dżhandzat było stratą czasu, niczym więcej. *Pajsa phēk, tamaśa dekh*.

W tej chwili przed Kamblem stała cała rodzina, matka, ojciec i syn ubrany w niebieski mundurek z krótkimi spodenkami. Ojciec, krawiec, wrócił do domu z warsztatu wczesnym popołudniem, żeby zabrać jakiś zapomniany wcześniej materiał na ubranie. W drodze powrotnej poszedł skrótem i zobaczył swojego syna, który w tym czasie miał być w szkole, jak z jakimiś faltu ulicznikami gra w kulki pod murem fabrycznym. Teraz mówiła matka:

– Sahabie, ja go biję, ojciec krzyczy na niego, a to nic nie pomaga. Nauczyciele już się poddali. A on nam pyskuje, mój własny syn. Myśli, że jest taki mądry. Uważa, że nie musi chodzić do szkoły. Mam już tego dość, sahabie. Niech pan go weźmie. Niech pan go wsadzi do więzienia.

Wykonała ruch, jakby wypuszczała coś z rąk, i końcem swojego niebieskiego pallu wytarła oczy. Patrząc na jej dłonie i dobrze umięśnione przedramiona, Sartadź uznał, że pracuje w osiedlu Śiwa jako bai, że myje naczynia i pierze ubrania żonom pracowników szczebla kierowniczego. Jej syn stał ze spuszczoną głową, pocierając jednym butem o drugi.

Sartadź kiwnął palcem.

– Chodź tutaj. – Chłopiec przysunął się bokiem. – Jak masz na imię?

* Sypanie pieniędzmi i oglądanie spektaklu.

– Saileś. – Był dość bystrym trzynastolatkiem. Elegancko ułożone włosy opadały na kark, w czarnych oczach miał błysk.

– Dzień dobry, Saileśu.

– Dzień dobry.

Sartadź uderzył mocno dłonią w stół. Tak głośno, że Saileś drgnął i cofnął się. Policjant chwycił go za kołnierz i pociągnął wokół biurka.

– Uważasz, że jesteś twardy, Saileśu? Jesteś taki twardy, że nikogo się nie boisz? Pozwól, że ci pokażę, co robimy z takimi twardymi tapori jak ty, Saileśu. – Sartadź przeszedł z nim przez pokój, przez drzwi i zaprowadził go do pokoju przesłuchań, przy każdym kroku unosząc chłopca nad ziemię. Na końcu tego pokoju, w pobliżu skutych, kucających więźniów, siedział Katekar z drugim policjantem.

– Katekar! – zawołał Sartadź.

– Słucham, panie komendancie.

– Który z nich jest najtwardszy?

– Ten, panie komendancie, uważa się za twardziela. Narain Swami, kieszonkowiec.

Sartadź potrząsnął Saileśem, aż głowa mu się zatrzęsała, i warknął.

– Ten oto wielki facet myśli, że jest twardszy od nas wszystkich. Pokażemy mu. Dajmy Narainowi Swamiemu mały pokaz dam, niech sobie ten wielki facet popatrzy.

Katekar podniósł skulonego Naraina Swamiego i zmusił go, żeby się nachylił, ten zaś próbował opierać się i brzęczał łańcuchami, ale kiedy na jego plecach wylądowało z niesamowitym trzaskiem pierwsze uderzenie otwartą dłonią, zrozumiał, o co chodzi. Przy drugim zawył jak należy. Po trzecim i czwartym już łkał.

– Proszę, sahabie, błagam. Wystarczy. – Po szóstym Saileś ronił już rzęsisiste łzy. Odwrócił głowę, ale Sartadź chwycił go za podbródek i zmusił, aby zwrócił wzrok na kaźń.

– Chciałbyś coś jeszcze zobaczyć, Saileśu? Wiesz, co robimy potem? – Sartadź wskazał na grubego białego pręta, biegnącego tuż pod sufitem od jednej ściany do drugiej. – Wsadzamy Swamiego na ghor. Przywiązujemy go za ręce i nogi do pręta i lejemy pattą. Katekar, pokaż mu pattę.

Ale kiedy Saileś zobaczył szeroki kawał taśmy, wyszeptał:

– Nie, proszę, nie.

– Co?

– Proszę, nie.

– Chcesz tu skończyć, Saileśu? Jak Narain Swami?

– Nie.

– Co, proszę?

– Nie, sahabie. Proszę.

– A tak właśnie skończysz. Jeśli dalej będziesz się w ten sposób zachowywał.

– Nie będę, sahabie. Nie będę.

Sartadź odwrócił go i trzymając mu dłonie na ramionach, poprowadził do drzwi. Narain Swami trwał zgięty w pół, szczerząc zęby w uśmiechu. Kiedy już wyszli, Saileś usiadł na metalowym krześle z butelką coca-coli między kolanami i w ciszy słuchał Sartadźa. Powoli sączył napój, a Sartadź opowiadał mu, jak kończą tacy ludzie jak Narain Swami, bici, wyniszczeni, uzależnieni, w więzieniu lub na przepustce, zmizerniali, wymęczeni i w końcu martwi. I to wszystko dlatego, że nie chodzili do szkoły i nie słuchali mamy.

– Ja będę chodził – powiedział Saileś.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Saileś dotknął gardła.

– Lepiej, żebyś dotrzymał słowa – pogroził Sartadź. – Nie cierpię ludzi, którzy łamią dane słowo. Dorwę cię.

Saileś skinął głową i inspektor wyprowadził go na dwór. Przy furtce stała matka chłopca. Podeszła do Sartadźa i uniosłszy zaciśnięte dłonie, otwarła je. W prawej znajdował się skrzycony koniec jej pallu, a w lewej starannie złożony banknot sturupiowy.

– Sahabie – powiedziała.

– Nie – odparł Sartadź. – Nie.

Widział jej wypomadowane włosy i zaczerwienione oczy. Uśmiechnęła się leciutko, wyżej uniosła dłonie i szerzej je otwarła.

– Nie – powtórzył Sartadź. Odwrócił się i odszedł.

Katekar prowadził z wprawą, z gracją baletnicy wyszukując przerwy pomiędzy innymi samochodami. Sartadź odsunął fotel do tyłu i sennie patrzył, jak kolega zmienia biegi i zgrabnie śmiga swoim suzuki gypsy między ciężarówkami i samochodami, mijając je w odległości zaledwie kilku centymetrów. Sartadź już od dawna się nie stresował. Co prawda wciąż jeszcze co kilka minut zdawało mu się, że zaraz dojdzie do kolizji, ale od Katekara nauczył się nie przejmować. To kwestia pewności siebie. Trzeba jechać do przodu i zawsze w ostatniej chwili ktoś się usuwa. I zawsze to ten drugi gandu. Katekar podrapał się po kroczu, mruknął: „Ech, behenćod”, i spiorunował wzrokiem kierowcę piętrowego autobusu, zmuszając go do całkowitego zatrzymania. Skręcili w lewo, a Sartadź uśmiechnął się, widząc, jakim zamaszystym łukiem podwładny pokonuje zakręt.

– Powiedz mi, Katekarze – odezwał się Sartadź – kto jest twoim ulubionym bohaterem?

– Filmowym?

– A jakimże innym?

Katekar był zakłopotany.

– Jak już oglądałem telewizję... – Trącił dźwignię zmiany biegów i wytarł jakiś pyłek z przedniej szyby. – Kiedy leci tam jakiś film... – czyli zawsze – lubię oglądać Deva Ananda.

– Deva Ananda? Naprawdę?

– Tak, panie inspektorze.

– Ale on jest również moim ulubionym aktorem. – Sartadź lubił te stare, czarno-białe filmy, w których Dev Anand pojawiał się na ekranie nachylony pod nieprawdopodobnym kątem, niewiarygodnie żwawy i nad wyraz uprzejmy. W tej jego koślawej doskonałości znajdował jakieś szczególne pokrzepienie, nostalgię za prostotą, której sam nigdy nie zaznał. Spodziewał się jednak, że Katekar okaże się wielbicielem Amitabha Bachchana albo entuzjastą mięśniaków, Sunila Shettiego czy Akshaya Kumara, których wielkie postacie widniały na plakatach filmowych jak jakieś gigantyczne i potężne okazy nowych gatunków. – A który film z Devem Anandem najbardziej lubisz?

Katekar uśmiechnął się i przechylił głowę na bok. To był ruch charakterystyczny dla Deva Ananda.

– No oczywiście *Przewodnika*, szefie. Bez dwóch zdań.

Sartadź skinął głową.

– Oczywiście. – *Przewodnika* nakręcono w jaskrawych kolorach lat sześćdziesiątych, co tylko dodawało smaczku gorącej miłości Deva do Waheedy, a także pomagało przeżywać gorycz ostatecznej tragedii. Sartadź zawsze z ciężkim sercem oglądał przeciągającą się śmierć przewodnika, tę całą jego samotność i wygasłą miłość. Ale oto okazało się nieoczekiwane, że również Katekar jest wielbicielem Deva. Sartadź roześmiał się i zaśpiewał: – *Gata rahe mera dil...* – Katekar kiwnął głową, a kiedy Sartadź zapomniał słów po *Tu hi meri manzil**, dośpiewał następny dwuwiersz, aż do samej antry. Teraz już uśmiechali się obaj.

– Dziś już się nie robi takich filmów – westchnął Sartadź.

– Nie, już nie – przyznał Katekar. Przed nimi rozpościerała się pusta teraz droga, aż do skrzyżowania w Karanth Ćauk. Mknęli obok skupisk domów mieszkalnych ulokowanych za długim zielonym murem po prawej, a po lewej widzieli niechlujne chałupy basti, wychodzące bezpośrednio na drogę. Katekar łagodnie zatrzymał się na światłach, płynnie wyhamowując z szalonej prędkości do zera.

* Cytat z piosenki ze zrealizowanego w języku hindi filmu *Przewodnik* (1965): „Moje serce śpiewa, a ty jesteś moim jedynym przeznaczeniem”.

– Krążą plotki o sahabie Parulkarze – powiedział, palcem wskazującym przecierając wewnętrzną stronę kierownicy.

– Jakie plotki?

– Mówi się, że jest chory i że rozważa odejście z policji.

– A na co jest chory?

– Na serce.

Skoro już musiały pojawić się jakieś pogłoski, ta brzmiała nieźle. Może to sam Parulkar zaczął coś takiego rozpowiadać, kierując się podstawową zasadą operacyjną, która mówi, że nie da się zachować tajemnicy i szybko wszyscy się czegoś dowiedzą, więc lepiej samemu wpłynąć na nieuniknione, absurdalne domniemania, ukierunkować je i jakoś wykorzystać.

– Nic nie wiem o jego odejściu – powiedział Sartadź – ale rozważa różne możliwości.

– Ze względu na serce?

– Coś w tym stylu.

Katekar kiwnął głową. Nie wyglądał na zbytnio zmartwionego. Sartadź wiedział, że Katekar nie należy do wielkich wielbicieli sahaby Parulkara, chociaż w obecności Sartadźa nigdy złego słowa by na niego nie powiedział. Raz stwierdził jednak, że mu nie ufa. Nie wyjaśnił, dlaczego, a Sartadź złożył jego podejrzenia na karb zatwardziałego antybraminizmu. Katekar nie ufał braminom, jak również nie lubił Marathów za ich charakterystyczną dla średniej kasty zachłanność, chciwość i te ich pretensje do statusu kszatrijów. Sartadź widział, że z punktu widzenia Katekara, z punktu widzenia przedstawicieli OBC, kast prześladowanych, te uprzedzenia są w pełni uzasadnione. Katekar nieraz powtarzał, że wystarczy tylko spojrzeć na historię. A Sartadź zawsze, nie pytając o nic, przyznawał, że przez wszystkie stulecia kasty upośledzone traktowano straszliwie. Spierał się jednak z Katekarem na temat polityki kastowej w czasach ubiegłych oraz obecnych i kwestionował jego wnioski. Na szczęście te ich dyskusje na niebezpieczne tematy zawsze toczyły się na stopie przyjacielskiej. Ostatecznie, Sartadź i tak był zadowolony, że Katekar w swoich opowieściach w żaden bezpośredni sposób nie odnosi się do wywyższających się sikhijskich dżatów. Znali się od dawna i Sartadź miał do niego pełne zaufanie.

Wjechali na wąski parking przed restauracją Sindur, która reklamowała się świetną kuchnią indyjską i europejską. Sartadź sięgnął za swój fotel po białą torbę Air India. Przecisnął się obok peugeota, minął pan-walę przy wejściu, a potem przepuścił szereg ubranych w białe koszule pracowników szczebla kierowniczego. Po drugiej stronie ulicy widział wielki biały szyld z czerwonym napisem „Delite Dance Bar and Restaurant”. Koszula Sartadźa była zupełnie przemoczona i od ramion aż po pas lepiła mu się do pleców. Restauracja Sindur miała wystrój ślubnej samijany, poczynając od instrumentów orkiestry

za kasą, a kończąc na okalających menu ozdobnych mehandi. Katekar usiadł naprzeciw Sartadźa w czteroosobowym boksie i obaj z ulgą opuścili głowy pod silnym strumieniem zimnego powietrza ze znajdującego się bezpośrednio nad nimi wentylatora. Kelner przyniósł dwie pepsi, które zaczęli pić łapczywie, ale zanim skończyli połowę, pojawił się przy nich Śambhu Śetti. Wsunął się na miejsce obok Sartadźa, schludny i zadbany jak zawsze, w niebieskich džinsach i niebieskiej džinsowej koszuli.

– Witaj, sahabie.

– Wszystko w porządku, Śambhu?

– Tak, sahabie. – Uściśnął im dłonie. Jak zawsze, Sartadź przez chwilę poczuł zazdrość z powodu żelaznego uścisku ręki Śambhu, tych jego napiętych mięśni ramion i gładkiej twarzy dwudziestoczworolatka. Pewnego razu, rok temu, odchylił się w boksie i podniósłszy koszulę, pokazał im swój kaloryfer na brzuchu, trójkąciki mięśni biegnące do klatki piersiowej. Kelner przyniósł Śambhu świeży sok ananasowy. Nigdy nie pił napojów gazowanych ani też z cukrem.

– Byłeś na trekkingu, Śambhu? – zapytał Katekar.

– Wybieram się na początku przyszłego tygodnia, przyjacielu. Na lodowiec Pindari.

Między Sartadźem a Śambhu, na czerwonej sztucznej skórze siedziska, leżała gruba, brązowa koperta. Sartadź przesunął ją sobie na kolana i uchylił skrzydełko. Wewnątrz znajdowało się dziesięć plików banknotów sturupowych w paczkach po dziesięć tysięcy rupii, obwiązanych bankową recepturką.

– Pindari? – zapytał Katekar.

Śambhu był zaskoczony.

– Człowieku, czy ty w ogóle wyjeżdżasz z Mumbaju? Pindari jest w Himalajach. Powyżej Najnitalu.

– Aha – odparł Katekar. – Na ile wyjeżdżasz?

– Na dziesięć dni. Nie martwcie się, wrócę przed następnym terminem.

Sartadź wyciągnął spod nóg torbę Air India, rozpiął zamek i włożył kopertę do środka. Komisariat i Delite Dance Bar miały comiesięczną umowę. Zarówno Śambhu, jak i on sam byli jedynie przedstawicielami dwóch organizacji; jedna dawała, a druga zbierała. Nie były to prywatne pieniądze, a oni spotykali się już od ponad roku, od czasu kiedy Śambhu został kierownikiem Delite, i przypadli sobie do gustu. Śambhu był porządnym gościem, kompetentnym, skromnym i bardzo wysportowanym. Próbował nakłonić Katekara do wspinałki.

– To oczyści ci głowę – mówił. – Jak myślisz, dlaczego wielcy jogini zawsze wybierali się w góry na tapasję? To kwestia powietrza. Pomaga w medytacjach, przynosi spokój. To dobrze robi.

Katekar uniósł pustą szklankę po pepsi.

– Moja tapasja jest tu, bracie. Tylko tu, co noc, odnajduję oświecenie.

Śambhu roześmiał się i stuknął się szklanką z Katekarem.

– Tylko nie spal nas tą twoją płomienną ascezą, o panie. Będę musiał przysłać ci apsary, aby cię ugłaskać.

Zachichotali wszyscy, a Sartadź aż się uśmiechnął na myśl o Katekarze siedzącym po turecku na jeleniej skórze, promieniującym blaskiem skumulowanej energii. Szarpnął za zamek torby, a potem stuknął Śambhu łokciem.

– Posłuchaj, Śambhu-ryshi – powiedział. – Musimy zrobić nalot.

– Co, znowu? Przecież mieliśmy nalot pięć tygodni temu.

– Chyba z siedem. Prawie dwa miesiące. Musisz pamiętać, Śambhu, że zmienił się rząd. Dużo się zmieniło. – Rzeczywiście, dużo się zmieniło. Partia Rakszak stworzyła nowy rząd stanowy. To, co kiedyś było prężną organizacją prawicową, dumną ze swoich zdyscyplinowanych, groźnych kadr, obecnie starało się przekształcić w partię mężów stanu. Jako stanowi ministrowie i sekretarze gabinetu złagodzili swój grzmiący nacjonalizm, ale nie zaniechają walki z degeneracją kulturową i zachodnią korupcją. – Obiecali zreformować miasto.

– Tak – odparł Śambhu. – Ten sukinsyn Bipin Bhonsle. Odkąd został ministrem, ciągle wygłasza przemówienia o zlikwidowaniu korupcji. I po co ten cały szum o ochronie indyjskiej kultury? Ostatnio wciąż się o tym gada. A kim my jesteśmy, jak nie mieszkańcami Indii? Czy nie chronimy swojej kultury? Czy dziewczyny nie tańczą indyjskich tańców?

Właśnie w tej chwili to robiły. W świetle lamp dyskotekowych wirowały do muzyki filmi, stosownie ubrane w ćoli i sari, a mężczyźni wyciągali do nich ręce z wachlarzami dwudziesto- i pięćdziesięciorupiiowych banknotów. Ale pomyśl, by posłużyć się Dance Bar jako przykładem świątyni kultury, był tak zuchwały, że Sartadź i Katekar zaniemówili.

– Śambhu... – odezwali się jednak obaj po chwili.

– Dobra, dobra. – Podniósł obie ręce. – Kiedy?

– W przyszłym tygodniu – odparł Sartadź.

– Zróbcie to przed moim wyjazdem. W poniedziałek.

– W porządku. A więc o północy. – Zgodnie z nowym rozporządzeniem bary miały być zamykane o dwudziestej trzeciej trzydzieści.

– Och, nie, sahabie. Pozbawiacie chleba biedne dziewczęta. To zdecydowanie za wcześnie.

– O wpół do pierwszej.

– Najwcześniej o pierwszej, błagam. Miejcie litość. Już i tak tracą połowę nocnych zarobków.

– Zgoda, o pierwszej. Ale lepiej, żeby było tu jeszcze kilka dziewczyn, kiedy przyjedziemy. Musimy jakieś aresztować.

– Co za sukinsyn z tego Bhonslego. Najpierw zamykanie barów, a teraz ta nowa sośa z aresztowaniem dziewczyn. Dlaczego? Po co? One przecież tylko zarabiają na życie.

– Nowa sośa to bezwzględna dyscyplina i uczciwość, Śambhu. Pięć dziewczyn w suce. Może znajdziesz jakieś ochotniczki. Niech podadzą dowolne nazwiska. I nie potrwa to długo. Będą w domu o trzeciej, najpóźniej o wpół do czwartej. Odwieziemy je.

Śambhu skinął głową. Wyglądało na to, że rzeczywiście lubi swoje dziewczyny, i to z wzajemnością, a z tego, co Sartadź słyszał, nigdy nie zabierał tancerkom z napiwków więcej niż standardowe sześćdziesiąt procent. Od tych najbardziej popularnych brał tylko czterdzieści. Zadowolona dziewczyna lepiej zarabia, powiedział kiedyś Sartadźowi. Był dobrym biznesmenem. Sartadź uważał, że chłopak daleko zajdzie.

– Zgoda, szefie – rzekł Śambhu. – Będziemy gotowi. Nie ma sprawy. – Kiedy tyłem wjeżdżali w gęstniejący ruch uliczny, on stanął im na drodze, wciąż się uśmiechając.

– O co chodzi? – zapytał Sartadź.

– Wiesz, sahabie, kiedy powiem dziewczynom, że to pan we własnej osobie przyjeżdża na nalot, mogą się założyć, że będę miał z dziesięć ochotniczek.

– Posłuchaj, ćutijo... – zaczął Sartadź.

– A nawet dwanaście, jeśli będzie je pan eskortował w furgonetce – dodał Śambhu. – Manika bez przerwy pyta o pana. Jest taki dzielny, mówi. Taki przystojny.

Katekar był bardzo poważny.

– Znam ją. Miła domatorka.

– Ma jasną karnację – powiedział Śambhu. – Dobrze gotuje, haftuje.

– Sukinsyny – rzucił Sartadź. – Behenćody. Ruszaj, Katekar, jedziemy. Jesteśmy spóźnieni.

Katekar prowadził, nawet nie próbując ukryć uśmiechu, równie wielkiego jak u Śambhu. Tuż przed maską samochodu przemknęła chmara wróbli, jak oszalałe pikujących z nieba. Był już prawie wieczór.

Na komisariacie czekała na nich sprawa morderstwa. Starszy inspektor Madźid Khan, który akurat pełnił dyżur, powiedział, że pół godziny wcześniej dzwoniło z Nawnagaru, z Bengali Bury.

– Nie ma kto się tym zająć – dodał. – Wypadło na ciebie, Sartadźu.

Sartadź kiwnął głową. Śledztwa w sprawie morderstwa na trzy godziny przed końcem służby każdy oficer najchętniej by uniknął, chyba że w grę wchodziłaby sprawa wyjątkowo interesująca. Bengali Bura w Nawnagarze była bardzo biedna, a trupy tam znalezione były po prostu martwe, pozbawione

wszelkich krzepiących perspektyw pochwał w raporcie, sławy w mediach albo pieniędzy.

– Napij się herbaty – zaproponował Madżid. Przewertował pliki banknotów z Delite, a potem włożył je do szuflady po prawej stronie biurka. Później przenieś te pieniądze do kasetki w znajdującej się za jego biurkiem szafce firmy Godrej, gdzie trzymano większość funduszu operacyjnego komisariatu. Sama gotówka, a żadna rupia nie pochodziła z oficjalnego, państwowego budżetu. Ten nie wystarczał nawet na papier, na którym śledczy spisywali panćanamy, ani na pojazdy, którymi jeździli, ani na paliwo, które zużywali, ani też na herbatę, którą wypijali oni sami i tysiące ich gości. Część pieniędzy z Delite Madżid zatrzyma w charakterze dodatku do swoich poborów starszego inspektora, a część zostanie przekazana dalej, w górę.

– Nie, lepiej nie – odparł Sartadź. – Lepiej tam pojadę. Im szybciej tam dotrzemy, tym wcześniej będziemy w łózkach.

Madżid pogładził się po wąsach ekstrawagancko podkreślonych do góry, jak u jego ojca, wojskowego. Miał do nich wielką słabość i dbał o nie, stosując zagraniczne maści i delikatnie je przycinając, chociaż stanowiły przedmiot kpin i szyderstw.

– Wspominała cię twoja bhabhi – powiedział. – Kiedy przyjdiesz na kolację?

Sartadź wstał.

– Podziękuj jej ode mnie, Madżid. Może w następnym tygodniu, dobrze? W środę? Kima, tak? – Żona Madżida nie była zbyt dobrą kucharką, ale jej kima nie było takie złe, i Sartadź upodobał sobie tę potrawę. Od czasu kiedy się rozwiódł, żony kolegów regularnie go dokarmiały, i podejrzewał w tym jakiś spisek. – Zbieram się.

– W porządku – powiedział Madżid. – W środę. Umówię się z generałem i dam ci znać.

W dżipie Sartadź rozmyślał o tej szczęśliwej parze, o Madżidzie i Rehanie. Kiedy siedział przy ich stole i spożywał ich jedzenie, widział, jak oszczędne są gesty małżonków, jak z każdego najprostszego zdania można wyczytać całą historię wspólnie spędzonych lat. Obserwował szesnastoletnią Farah, z desperacją drażniącą się z trzynastoletnim Imtiazem, niecierpliwym i pewnym siebie. A potem z całą rodziną swobodnie rozkładał się na dywanie i oglądał jakiś ulubiony teleturniej. Oni chcieli, żeby został z nimi, on zazwyczaj nieustannie myślał o tym, że chciałby już sobie pójść. Za każdym razem bardzo chętnie przyjmował ich zaproszenie, ciesząc się, że może przebywać w normalnym domu, z normalną rodziną, z rodziną. Niemniej ich szczęście przyprawiało go o ból w piersi. Zdawało mu się, że powoli przyzwyczajają się do samotności, na pewno się przyzwyczajał, ale jednocześnie wiedział, że nigdy tak do końca się

z nią nie pogodzi. Jestem straszny, pomyślał, tak źle i tak niedobrze. A potem w zawstydzeniu obejrzał się na czterech policjantów, którzy w identycznych pozach siedzieli z tyłu, mocno przyciskając do piersi swoje dwa karabiny i dwie lathi. Wszyscy wpatrywali się w brudną, metalową podłogę, lekko się kolebiąc to na jedną, to na drugą stronę. Za nimi widać było żółte niebo z dryfującymi smużkami błękitu.

Ojciec zamordowanego czekał na nich na skraju Nawnagaru, pod łagodnym zboczem zabudowanym ruderami od nali do drogi. Był mały i nijaki, taki człowiek, który całe życie spędził, schodząc wszystkim z drogi. Sartadź ruszył za nim nierównymi uliczkami. Chociaż szli w górę zbocza, inspektor miał wrażenie, że schodzi w dół. Wszystko stawało się coraz mniejsze, ciaśniejsze, wąskie uliczki między krzywymi ścianami z tektury, tkanin i drewna, pokryte plastikiem, zapadające się dachy. Znajdowali się prawie w samym środku Bengali Bury, najbiedniejszej części Nawnagaru. Większość ze stojących tu chat była niższa od wyprostowanego mężczyzny, ubrani w wystrzępione łachmany mieszkańcy siedzieli w wejściach, a przed policjantami biegły bose dzieciaki. Na twarzy Katekara malował się wyraz wścieklej pogardy dla mieszkańców dźhoparpatti, dopuszczających do tego, żeby zwały brudu i śmieci zalegały pół metra od drzwi ich domostw, żeby ich małe córeczki kucaly i robiły kupę dokładnie w tym miejscu, gdzie bawią się ich synowie. To właśnie tacy ludzie rujnują Mumbai, często mówił do Sartadźa, ci ganwarowie, którzy przybywają z Biharu albo Andhry, czy też z tego maderćodowego Bangladeszu, i żyją tu jak zwierzęta. Ci tutaj rzeczywiście są z Bangladeszu, pomyślał Sartadź, chociaż bez wątplenia mają dokumenty zaświadczające, że pochodzą z Bengalu, że każdy z nich jest prawdziwym obywatelem Indii. W każdym razie nie było dokąd ich odesłać, w tej swojej podmokłej delcie nie mieli nawet pół bighy własnej ziemi, która by ich pomieściła. Nadciągali tysiącami, aby nająć się do służby albo pracować przy drogach i na budowach. A jeden z nich leżał tu teraz martwy.

Upadł na progu. Górna połowa ciała znajdowała się wewnątrz chaty, rozrzucone stopy leżały na zewnątrz. Był młody, jeszcze nie skończył dwudziestu lat. Miał na sobie drogie tenisówki Keds, porządne dżinsy i niebieską koszulę bez kołnierzyka. Na przedramionach widniały głębokie do kości rany cięte, częste u ofiar napadów z użyciem siekiery, broniących się przed uderzeniami. Rany były czyste i z jednego końca głębsze. Zamiast małego palca lewej dłoni widniał niewielki, krwawy kikut, a Sartadź wiedział, że nie ma sensu go szukać. Okolica roiała się od szczurów. Niewiele dało się zobaczyć w chacie, trudno było cokolwiek rozpoznać w tętniących życiem ciemnościach. Katekar włączył latarkę i w kręgu światła Sartadź zaczął odganiać muchy. Rany cięte widniały na klatce piersiowej i czole, a jedna, pokaźna, prawie przecięła szyję chłopaka.

Prawdopodobnie był już żywym trupem po tamtych ciosach, ale zabił go ten właśnie, z głuchym łomotem zwałił go na ziemię. Pod nogami mieli ciemne, wilgotne błoto.

– Nazwisko? – odezwał się Sartadź.

– Jego, sahabie? – zapytał ojciec. Odwracał wzrok, starał się nie patrzeć na syna.

– Tak.

– Śamsul Śah.

– A twoje?

– Nurul, sahabie.

– Użyli siekier?

– Tak, sahabie.

– Ilu ich było?

– Dwóch, sahabie.

– Znasz ich?

– To Bazil Ćaudri i Faradź Ali, sahabie. Mieszkają w pobliżu. To koledzy mojego syna.

Katekar gryzmołił w swoim notesie, poruszając ściśniętymi wargami przy pisaniu nieznanych mu nazwisk.

– Skąd pochodzisz? – zapytał Sartadź.

– Z wioski Duipara w regionie Ćapra, dystrykt Nadia, Bengal Zachodni, sahabie. – Te wszystkie słowa zostały wypowiedziane bardzo pośpiesznie. Sartadź zdawał sobie sprawę, że starzec ćwiczył je wiele razy po nocach, uczył się z dokumentów, które kupił natychmiast po przybyciu do Mumbaju. Morderstwo z udziałem Bengalczyków należało do rzadkości, ponieważ ludzie ci na ogół byli uniżeni, pracowali, starali się zarobić na życie i nie ściągać na siebie uwagi.

– A tamci? Też są stamtąd?

– Ich rodzice pochodzą z Ćapry.

– Z tej samej wioski?

– Tak, sahabie. – Mówił z bangladeskim akcentem z naleciałościami urdu. Sartadź nauczył się już rozpoznawać tę wymowę. Kłamał tylko w kwestii kraju, w którym wioska się znajdowała, i tyle. Reszta była zgodna z prawdą. Ojcowie ofiary i zabójców prawdopodobnie wspólnie dorastali, pluskając się w tych samych strumieniach.

– Czy ci dwaj są z tobą w jakiś sposób spokrewnieni?

– Nie, sahabie.

– Widziałeś to zdarzenie?

– Nie, sahabie. Ludzie mnie zawołali.

– Jacy ludzie?

– Nie wiem, sahabie. – Z końca dróżki dobiegały pomruki. Słyszeli wznoszące się i cichnące głosy, nikogo jednak nie było widać. Żaden z sąsiadów nie chciał mieć do czynienia z policją.

– Do kogo należy ten dom?

– Do Ahsana Naima, sahabie. Ale jego tu nie było. W domu była tylko jego matka, teraz jest u sąsiadów.

– Widziała to?

Nurul Šah wzruszył ramionami. Nikt nie chciał być świadkiem, lecz tej starej kobiecie nie uda się tego uniknąć. Może będzie się tłumaczyć krótko-wzrocznością.

– Twój syn uciekał?

– Tak, sahabie, stamtąd. Siedzieli w domu Faradża.

Czyli zamordowany chłopak starał się dotrzeć do domu. Musiał być wycieńczony i chciał się gdzieś schronić. Drzwi składały się z kawałka blachy zawieszonego na trzech drutach na umieszczonym poziomo kawałku bambusa. Sartadź odsunął się od ciała, od tego ciężkiego zapachu krwi i mokrej gliny.

– Dlaczego to zrobili? Co się stało?

– Oni wszyscy razem pili, sahabie. Pokłócili się.

– O co?

– Nie wiem. Sahabie, złapicie ich?

– Zapiszemy to – odparł Sartadź.

O jedenastej Sartadź stał pod silnym strumieniem zimnej wody, wystawiając do niego twarz. Ciśnienie w rurach było bardzo dobre, nie spieszył się więc z wyjściem spod prysznica, podsuwając pod chłodny bicz to jedno ramię, to drugie. Wbrew samemu sobie i pomimo szumu wody w uszach myślał o Kamblem i o pieniądzach. Kiedy Sartadź był żonaty, czerpał pewną dumę z tego, że nigdy nie bierze pieniędzy, ale po rozwodzie zdał sobie sprawę, jak bardzo pieniądze Meghi chroniły go przed światem, przed biedą ulic, na których mieszkał. Dziewięćset rupii miesięcznie, otrzymywane w formie ryczałtu na koszty dojazdu, ledwo wystarczało na trzydniowy zapas paliwa do jego motocykla Bullet, a z wielu banknotów, które codziennie rozdawał swoim informatorom, może jeden czy dwa pochodziły z tego małego przydziału dla khabari, a już na pewno nie pozostawało nic na śledztwo w sprawie śmierci młodego mężczyzny w Nawnagarze. Dlatego też teraz Sartadź brał pieniądze, i to chętnie. Pieprzony sardar już nie ma za szwagrów bogatych sukinsynów, więc ocknął się: wiedział, że policjanci i inni ludzie mówią to z satysfakcją, i mają rację. Ocknął się. Odetchnął głęboko, poruszył głową i w tym momencie mocne uderzenie centralnej części strumienia łupnęło go prosto między oczy. Głowę wypełnił mu szum.

W jego salonie panowała absolutna cisza. Wiedział, że jeszcze nie czas na sen, bez względu na to, jak bardzo jest zmęczony i jak bardzo pragnie odpoczynku. Położył się na sofie, z whisky Royal Challenge i butelką wody na stoliku obok. Pił małymi, odmierzonymi łykami, w regularnych odstępach. Pozwalał sobie na dwie szklaneczki na koniec dniówki, a ostatnio musiał zwalczać chęć sięgnięcia po trzecią. Leżał z głową daleko od okna, by móc patrzeć w niebo, wciąż rozjaśnione światłami miasta. Po lewej widział długi, szary wieżowiec, przekształcony przez ramę okienną w jakąś zwieńczoną blankami abstrakcyjną konstrukcję, a po prawej tak zwaną ciemność, łagodnie rozpadającą się w oczach w bezkształtną i niesłabnącą żółtą iluminację. Sartadź wiedział, skąd się to wszystko bierze, jaka jest tego przyczyna, ale jak zawsze czuł podziw. Pamiętał, jak grał w krykieta na ulicy Dadar, szybkie puknięcia piłeczki tenisowej i twarze kolegów, a także to uczucie, że swoim sercem mógłby objąć całe miasto, od Kolaby po Bandrę. Teraz zrobiło się już zbyt obszerne, wymykało się mu, dochodziły kolejne rodziny, aż wytworzyła się ta chłodna i nieskończona poświata, której nie można było poznać ani się jej wymknąć. Czy naprawdę istniała ta mała, pusta uliczka, dobra na dziecięce gry w krykieta i na zabawy w dabba-ispajs czy tikkar-billę, czy też skradł ten obraz z jakiegoś czarno-białego materiału filmowego? Podarował sobie w formie prezentu to wspomnienie szczęśliwszego miejsca?

Wstał. Oparł się o framugę okna i przechylił szklaneczkę, aby wysączyć ostatnią kropelkę trunku. Wysunął głowę na zewnątrz, by poczuć lekki wiaterek. Horyzont był zamglony i odległy, a poniżej ostro świeciły światła. Spojrzał w dół i daleko na ziemi, na parkingu, dostrzegł jakiś błysk, kawałek szkła, może miki. Nagle pomyślał, że łatwo byłoby wysuwać się tak coraz dalej, przechylić się, aż jego własny ciężar pociągnąłby go w dół. Oczami wyobraźni widział, jak spada, widział szaleńczo łopoczącą białą kurtkę, a pod nią nagą klatkę piersiową i brzuch, ciągnącą się narę, spadające z nóg niebiesko-białe, gumowe, kąpielowe ćappale, obracające się stopy, i zanim się zamknie pełny obrót, trzask czaszki, krótki, a potem cisza.

Cofnął się od okna. Bardzo ostrożnie odstawił szklankę na stolik. Skąd się to wzięło?

– Skąd się to wzięło? – zapytał na głos. A potem usiadł na podłodze i zauważył, że odczuwa ból przy zginaniu kolan. Bolały go uda. Położył obie dłonie na stole i spojrzał na białą ścianę naprzeciwko. Był spokojny.

Katekar jadł resztki niedzielnej baraniny. W dolnej części jego pleców, po prawej stronie, znajdował się mięsień, który drgał boleśnie, ale przed Katekarem leżała ta gęsta, gorąca pociecha w postaci baraniny z prostą obfitością ziemniaków i ryżu oraz z tą piekącą rozkoszą marynowanych zielonych chilli,

dzięki czemu z palącymi wargami mógł zapomnieć o skurczach mięśni albo przynajmniej je zignorować.

– Dołożyć ci? – zapytała Śalini.

Pokręcił głową. Usadowił się wygodnie w fotelu i beknął.

– Może ty byś coś zjadła?

Śalini pokręciła głową.

– Już jadłam – odparła. Potrafiła oprzeć się pokusie baraniny późnym wieczorem, ale nie tylko dlatego jej ręce były szczupłe jak w dniu ich ślubu, prawie dziewiętnaście lat temu. Katekar obserwował, jak jednym zgrabnym ruchem przekręciła kurek gazu w lewo, redukując duży płomień i w końcu gasząc go zupełnie. W jej ruchach była jakaś ujmująca dokładność, kiedy teraz przepłukiwała i układała w stos naczynia do umycia nazajutrz, jakaś czysta wydajność, bardzo funkcjonalnie istniejąca w tym należącym do niej kawałku przestrzeni. Była szczupła, skromna i zaspokajała jego apetyty.

– Chodź, Śalu – powiedział, zdecydowanym ruchem ocierając usta. – Już jest późno. Kładźmy się.

Patrzył, jak wyciera stół, energicznie, z brzękiem szklanych bransolet. Kholi było niewielkie, ale w środku panował nienaganny porządek. Kiedy skończyła, złożył nogi stołu i podniósł blat, opierając go o ścianę. Dwa krzesła powędrowały do kątów. Kiedy ona porządkowała kuchnię, on rozwinął dwie ćatai w miejscu, gdzie wcześniej stał stół. Potem położył na jej ćatai materac oraz poduszkę, dla siebie zaś jedynie poduszkę, ponieważ jego plecy tolerowały tylko twarde podłoże, i już posłania były gotowe. Nalał sobie wody z garnka matka, wziął opakowanie proszku do zębów Monkey, po czym wyszedł na dwór i ruszył uliczką, ostrożnie stawiając kroki. Mieszkali w nadzwyczaj gęstym skupisku kholi, w większości porządnie zbudowanych, pakka, z drutami elektrycznymi biegnącymi nad dachami. O tej porze kran wodociągu miejskiego był już oczywiście suchy, ale pod stojącym za nim ceglany murem znajdowała się kałuża wody. Katekar oparł się o mur, wysypał nieco proszku na palec wskazujący i umył zęby, oszczędnie używając wody, tak że kiedy wypływał ostatni łyk, usta miał już czyste.

Kiedy wrócił do kholi, Śalini leżała na boku, tyłem do wejścia.

– Byłeś? – zapytała, nie odwracając się. Odstawił szklankę na półkę w kuchni. – Lepiej idź – powiedziała Śalini. – Bo za godzinę się obudzisz.

Na drugim końcu uliczki znajdował się zakręt, potem następny, a dalej otwierała się przestrzeń zbocza opadającego aż do szosy. Z ziemi unosił się intensywny fetor, w którym Katekar teraz kucnął, i ku swemu zdumieniu wypuścił gwałtowny strumień w dół pochyłości. Westchnął i popatrzył na zbliżające się i znikające w dole światła. Wróciwszy do kholi, wyłączył żarówkę, zdjął banijan i spodnie i opuszczył się na swoją ćatai. Leżał płasko na plecach,

z prawą nogą odsuniętą w bok, lewym ramieniem i udem dotykając materaca Śalini. Po chwili ona uniosła się i powoli się przy nim ułożyła. Czuł jej łopatkę na piersiach, jej biodro przy wzniesieniu swego brzucha. Wtuliła się w niego, a on się nie ruszał. W panującej wokół ciszy, sam również nie wydając żadnego dźwięku, słyszał dochodzący zza czarnej płachty, dzielącej kholi na dwie części, podwójny oddech ich synów. Mohit i Rohit, jeden miał dziewięć, a drugi piętnaście lat. Katekar wsłuchiwał się w dźwięki swojej rodziny, i po chwili, pomimo panujących ciemności, zaczął rozróżniać domowe kształty. Na półce po jego stronie płachty stał mały kolorowy telewizor, a obok fotografie jego rodziców i rodziców Śalini, wszystkie udekorowane girlandą, podobnie jak umieszczone w złotej ramce zdjęcie chłopców w zoo. Kalendarz reklamowy mydła Lux odwrócony na karcie z czerwcem, z wizerunkiem Madhubali. Poniżej zielony telefon z blokadą na tarczy. W nogach ćatai wirujący wentylator stołowy. Wiedział, że za głową ma radiomagnetofon i kolekcję kaset z piosenkami ze starych filmów w języku marathi. Dwa czarne kufry ustawione jeden na drugim. Ubrania na haczykach, jego koszula i spodnie na wieszaku. Półka Śalini z mosiężnymi posążkami Amby-bai i Bhawani i ozdobiona girlandą fotografia Sai Baby. I kuchnia, od sufitu do podłogi zastawiona półeczkami, na których stoją całe rzędy błyszczących, stalowych naczyń. A po drugiej stronie czarnej tkaniny półki ze szkolnymi podręcznikami, dwa plakaty Sachna Tendulkara z kijem krykietowym, małe biurko zarzucone wysoko ołówkami, zeszytami i starymi czasopismami. Metalowa szafka z dwiema identycznymi przegródkami.

Katekar się uśmiechnął. Lubił przeglądać w nocy swój dobytek, czuć, że jest pewny i rzeczywisty pod spojrzeniem jego zamykających się oczu. Leżał zniechęcony w półśnie, wciąż jeszcze za bardzo przytomny, po plecach przebiegał mu dreszcz, ale Katekar nie mógł dźwignąć ciężaru swojego ciała i zbliżyć się do żony. Otaczały go przedmioty, które otrzymał od życia, i choć wiedział, jak krucha jest ta fortyfikacja, i tak czerpał z niej pocieszenie. Tutaj był spokojny. Czuł, jak jego ociężałe ramiona i nogi stają się coraz lżejsze, i z zamkniętymi oczami unosił się w powietrzu. Spał.

Trzymając małego zgrabnego pilota do telewizora, Sartadź przeskakiwał z wyścigów samochodowych w Detroit na dubbingowany amerykański program o kobietach detektywach, potem na ślimaka, śliskiego i brązowego w jakiejś ogromnej krętej rzece, a następnie na program z najlepszymi piosenkami filmowymi. Dwie bohaterki w czerwonych minispódniczkach, uśmiechnięte i krągłe, niespełna osiemnastoletnie, tańczyły na szczycie łuków ruin pałacu oplecionych winoroślami. Sartadź ponownie nacisnął guzik na pilocie. Na tle drgających, błyskawicznie zmieniających się obrazów z wiadomościami blond

prezenterka muzyczna jak najęta trajkotała o jakimś piosenkarzu bhangry z Londynu i o jego nowym albumie. Prezenterka była Hinduską, ale na imię miała Kit, a na jej obnażone ramiona spływały świetliste blond włosy. Machnęła ręką w stronę kamery i nagle znalazła się w ogromnej lustrzanej sali, od końca do końca wypełnionej szczęśliwymi tancerzami poruszającymi się zgodnym rytmem. Kit roześmiała się, a kiedy kamera przysunęła się do jej twarzy, Sartadź dostrzegł piękne rysy, jednocześnie z zadowoleniem podziwiając smukłe nogi. Wyłączył telewizor i wstał.

Zesztywniały podszedł do okna. Za żółtymi lampami, syczącymi na terenie sąsiedniego budynku, rozpościerała się czerń morza, a dużo dalej jasnoniebieskie i pomarańczowe plamki oznaczające Bandrę. Przez dobrą lornetkę można było dostrzec nawet Nariman Point na drugim brzegu, w linii prostej niezbyt odległy, ale lądem oddalony przynajmniej o godzinę jazdy pustymi nocą drogami, i bardzo daleko od strefy trzynastej. Sartadź poczuł nagły ból w klatce piersiowej. Miał wrażenie, że trą o siebie dwa kamienie. Nie krzesaly jednak ognia, tylko mętny i miarowy żar, jakieś nieustające i niespokojne pragnienie. To uczucie zaczęło dławić go w gardle i ostatecznie podjął decyzję.

Po dwunastu minutach szybkiej jazdy przejechał pod estakadą i znalazł się na autostradzie. Upajały go puste połacie drogi, płynnie przesuwająca się pod palcami kierownica i śmiał się z prędkości. Ale między jasno oświetlonymi sklepami w Tardeo utworzył się korek i Sartadź nagle poczuł złość na samego siebie, już chciał zawrócić. Kiedy stukał palcami po desce rozdzielczej, naszło go pytanie: „Co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz? Dokąd jedziesz tym samochodem byłej żony, który zostawiła ci z grzeczności i który może się rozsypać pod twoją gand na tej dziurawej jak sito drodze?”. Było jednak za późno, już pokonał ponad połowę trasy, i chociaż ta pierwsza, szczęśliwa chwila minęła, jechał dalej. Nim zaparkował samochód i wszedł do Kawe, zrobiła się prawie pierwsza, a on czuł się bardzo zmęczony. Ale w końcu tu dotarł i widział tłum przy tylnym wyjściu, jedynym otwartym po oficjalnej godzinie zamknięcia o dwudziestej trzeciej trzydziści.

Ludzie rozsunęli się, by go przepuścić. Był od nich starszy, to prawda, może nawet dużo starszy, ale nie widział powodu do ciekawskich spojrzeń i tej ciszy, która zapadła na jego widok. Ubrani w luźne lśniącoe koszule, sukienki chyba najkrótsze, jakie widział w życiu, irytowali go. Kręcił się niepewnie przy wejściu, aż w końcu jakaś dziewczyna ze srebrnym kółkiem w dolnej wardze sięgnęła do drzwi i przytrzymała je przed nim. Zanim zdążył pomyśleć, że powinien jej podziękować, stał w środku, a drzwi się zamykały. Wyprostował się i znalazł miejsce w kącie przy barze. Trzymając kufel beczkowego piwa w dłoni, miał już jakieś zajęcie, odwrócił się więc twarzą do pomieszczenia. Otaczał go zbity tłum i nie widział dalej niż na metr, a ludzie dookoła rozmawiali zżywieniem,

pochylając się ku sobie i przekrzykując muzykę. Szybko wypił piwo, jakby tylko na tym mu zależało. Zamówił następne. Przyglądał się po kolei każdej kobiecie, których było wszędzie pełno, i wyobrażał sobie, że jest z każdą z nich. Nie, zbyt daleko wybiegał myślami, wymyślał więc, co mógłby im powiedzieć. Dzień dobry. Nie, cześć. Cześć, jestem Sartadź. Spróbuj mówić tylko po angielsku. I z uśmiechem. Tylko co dalej? Starał się podsłuchać ludzi po lewej. Rozmawiali o muzyce, o jakimś amerykańskim zespole, o którym on nigdy nie słyszał, co akurat wcale go nie dziwiło.

– Ten ostatni kawałek był za wolny – powiedziała dziewczyna zwrócona plecami do Sartadźa. Nie dosłyszał odpowiedzi stojącego przed nią chłopaka z kucykiem, ale druga dziewczyna, z zadartym nosem, rzuciła:

– Weź, był spoko. – Sartadź wyszczył ostatnią kroplę i otarł usta. Pragnienie, które go tu przywiodło z drugiego końca miasta, nagle zniknęło, pozostawiając po sobie jedynie ciemny osad gorzkości. Zrobiło się bardzo późno, a on już miał dość.

Szybko zapłacił i wyszedł. Wokół drzwi kręcili się już inni ludzie, ale zapadła ta sama cisza, widział te same spojrzenia, te same naszyjniki z koralików, kolczyki w rozmaitych częściach ciała i wystudiowane niechłujstwo, i zrozumiał, że jego eleganckie niebieskie spodnie wyróżniają go jako osobę zupełnie tu obcą. Zanim doszedł do końca uliczki, zwątpił również w stosowność swojej białej koszuli z przypinanym kołnierzykiem. Ostrożnie skręcił w prawo na główną drogę, przekraczając ciała dwóch śpiących na chodniku chłopaków, i ruszył w stronę Crossroads Mall, gdzie wcześniej zaparkował. Bezszelestnie stapał po zaśmieconym chodniku, a nad głową majaczyły mu pozamykane drzwi sklepów. Nie mogę być tak pijany po dwóch piwach. Latarnie zdawały się jednak bardzo odległe, a powieki ciążyły mu jak kamienie.

Pojechał do domu. Padł na łóżko. Teraz mógł już spać, sen kładł się ciężko na jego ramionach, przygniatając go jak czarne osuwisko. Potem zaś nagle zdał sobie sprawę, że jest rano, a jego uszy pękają od przenikliwego zgrzytania telefonu. Po omacku ruszył w jego stronę.

– Sartadź Singh? – Głos był męski, apodyktyczny i władczy.

– Tak?

– Czy chcesz dorwać Ganeśa Gaitondego?



MISTRZOWSKI THRILLER,
OKRZYKNIĘTY INDYJSKĄ WERSJĄ
OJCA CHRZESTNEGO

Wielowątkowa opowieść o przyjaźni i zdradzie, przemocy i wielkiej miłości – oraz o współczesnym Bombaju. Serial na podstawie książki dostępny w serwisie Netflix.

Detektyw Sartadź Singh najlepsze lata ma już za sobą. Życie nie obeszło się z nim łaskawie. Stał się cynikiem bez perspektyw. Jednak gdy dowiaduje się, że w mieście przebywa Ganeś Gaitonde – jeden z najbardziej nieuchwytnych przywódców mafijnego półświatka – a kryjówka, w której się zabarykadował, jest szczelnie otoczona przez policję, zaczyna wierzyć w odmianę losu.

Ale Gaitonde popełnia samobójstwo, zostawiając masę brudnych pieniędzy i więcej pytań niż odpowiedzi. Mimo że śledztwo zostaje zamknięte, Sartadź zaczyna drążyć. Ślady prowadzą w głąb ciemnych podziemi metropolii, w świat przestępczości zorganizowanej i powszechnej korupcji.

DLA WSZYSTKICH FANÓW
SHANTARAM

V I K R A M C H A N D R A

– uważany za jednego z czołowych pisarzy indyjskich, jest absolwentem Pomona College, gdzie z wyróżnieniem ukończył kierunek *creative writing*. Studiował też filmoznawstwo na Columbia University. Tam w uczelnianej bibliotece natknął się na autobiografię legendarnego dziewiętnastowiecznego żołnierza, znanego pod pseudonimem „Sikander”. Historia ta zainspirowała go do napisania powieści *Red Earth and Pouring Rain*, która została przyjęta z wielkim uznaniem, zdobywając dwie prestiżowe nagrody. Zbiór opowiadań *Miłość i tęsknota w Bombaju* odniósł równie spektakularny sukces. Vikram Chandra obecnie stara się dzielić swój czas pomiędzy Bombaj a Berkeley.



cenę 59,90 zł

PAŃSTWO

lubimyczytać.pl

POCISK

PORTAL
KRYMINALNY

NIESTATYSTYCZNY

na EKRANIE.PL

w sprzedaży także
eBOOK